

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego
 „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach
 — — — Nauczycielskich w Białymstoku. — — —

Cena prenumeraty: Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 20 gr.,
 cena numeru w miejscu 40 gr., z przesyłką 50 gr.

TREŚĆ NUMERU:

- | | |
|---|------------------|
| 1. Mogła Nieznanego Żołnierza | W. Dudziński IV. |
| 2. Idea oszczędności a przyszłość naszego Państwa | N. D. IV. |
| 3. Znaczenie organizacji w naszym społeczeństwie | Z. W. III. |
| 4. Wielka parada | E. B. V ż. |
| 5. Echa wieczoru harcerskiego | E. B. V ż. |
| 6. Czy harcerstwo jest zabawą | J. V ż. |
| 7. Zbiórka | Czechówna II ż. |
| 8. Dzień harcerski w naszym Seminarjum | Łotowska IV ż. |
| 9. Do redaktora „Młodej Myśli” | W. Dudziński. |
| 10. Humor i satyra. Fenomenalny rzut oszczepem | Koźłowski. |
| 11. Z życia naszego internatu | L. V ż. |
| 12. Kronika. | |
| 13. Od Redakcji. | |



Adres Redakcji i Administracji:

„Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku, № tel. 36.

Opiekun pisma prof. P. Gajdzica.

Redaktor K. Koźłowski.

Wiceredaktor E. Bielawska.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku.

Mogła Nieznanego Żołnierza.

Zadrzały bojaźliwie wiekowe dęby, zatrzęsły się w smętku wysoko brzozy, bo oto z nieznanych stron, z tajemniczych głębin lasu, gwizdząc i sycząc złowrogo, wypadł przybłęda granat i pękł z ogłuszającym hukiem, napełniając dziwnym łoskotem wiekowy bór.

Młody żołnierz polski, postępujący naprzód z karabinem w dłoni, chwycił się nagle za pierś, zbladł strasznie i zachwiał się.

— O Jezul.. — jęknął cicho.

Nie mógł stać. Runął, jak podcięty pień drzewa. Któryś z towarzyszy broni przypadł ku niemu i jął rozpinać a, raczej rozrywać jego zieloną żołnierską kurtkę, inni poszli dalej.

— O Jezu! — szeptał coraz słabiej ranny, — Janku, prze-proś ojca, zostawiłem go samego... to... za lud nasz, za polską ziemię.. za Ojczyznę!..

Westchnął ciężko.

Z pod marynarki widać było, w tem miejscu, gdzie zazwyczaj dobre ludzkie serce rytmicznie uderza, sącząca się strugę jasno-purpurowej krwi, spływającej po ciele i padającej na zieloną trawę.

Towarzysz, nazwany Jankiem, ujął głowę rannego w dłonie, lecz ciężką już ona była, jak ołów, twarz zaś bladą z szeroko otwartymi oczyma, osłoniła, niby całun śmiertelny, dziwna mgła. Otworem w piersiach ulatywało młode życie Nieznanego Żołnierza, obywatela wywalczonej niedawno Ojczyzny.

— Bracie drogi! — zawołał Janek.

Lecz usta żołnierza nie wyszeptały już ani jednego słowa. Oczy utkwili jeno w górze, jakby się wpatrywał w jeden tylko punkt, i trzymał je nieruchome i smutne w swym wyglądzie.

Legł na polu Walki Nieznany Bohater, walczący o wolność Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, legł u stóp wyniosłych

dębów. One mu jedne cicho larum grały, one go jedne ukłasyły do snu wiecznego, one go szumem swym żegnały.

Chwała Muł.. Cześć jego prochom!..

— — — — —
Mieły lata wojny.

Kmieć znów mógł spokojnie wyjechać z pługiem w pole i orać, zbroszone krwią Nieznanego Żołnierza, zagony.

W dali, na skraju pewnej wioski, kędy las biegnie ku horyzontowi, stoi krzyżyk brzozowy nad niewielkim nasympem, krzyżyk bez żadnego napisu, prosty, tajemniczy, jakiś obcy, jak ten, nad którego grobem stróżuje — Nieznany Żołnierz. Wiatr przyniósł dziwnym trafem skradzione z ogrodów nasiona kwiatów i zasiał je na mogile samotnej, pielęgnował, aż wyrosły i zakwitły wielobarwnie.

I rzecz dziwna...

Skoro tylko księżyc w pogodną, cichą noc wypłynie ponad las i złotą poświatą obleje grób, wówczas widzę i czuję, jak z kwiatów owych powstają dziwne cienie, rosną, niby olbrzymy, przybierają na się kształt żołnierzy polskich, płyną razem ku lasom, borom, wsiom i jak za nimi snuje się potężna pieśń:

„Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie, by żyć“.

W. Dudziński.

Idea oszczędności, a przyszłość naszego Państwa.

„W ciężkim, bezwładnym śnie dziejów, którego końca nie widać, zadaniem człowieka jest, aby senne majaczenia ludzkości zmienić w dzień jasny i sumienny“.

K. Irzykowski.

Po wojnie światowej niemal każdy kraj w Europie boryka się z klęską społeczną w postaci powszechnego zubożenia ludności. Kryzysy gospodarcze, strajki, bezrobocie aż nadto wymownie o tem świadczą. Polska w wyniku długoltniej niewoli i wojny światowej jest wyjątkowo zubożała i stoi na niskim stopniu kultury gospodarczej. W przemyśle n.p. jesteśmy prawie całkowicie zależni od obcych kapitałów, gdyż kapitał ojczysty jest bardzo słabo w tej dziedzinie reprezentowany, a kapitał obcy, miast rozwijać, często tamuje rozwój naszego przemysłu. To samo zjawisko da się zaobserwować i w gospodarce niektórych miast.

Kapitały obce, czy to włożone w nasz przemysł, czy w instytucje społeczne, decydująco wpływają na nasze sprawy społeczno-gospodarcze, a zatem i państwowe. w myśl swoich własnych interesów, nasze zaś interesy na tem poważnie cierpią.

Z niskim stopniem kultury gospodarczej, jeżeli chodzi o ogół obywateli, o szerokie masy, wiąże się niski poziom kultury moralnej i duchowej naszego społeczeństwa.

Obecne pokolenie, wychowane w niewoli, nie jest odpowiednio przygotowane do tworzenia kultury moralnej i duchowej w tak szybkim tempie, jakiego wymagają obecne czasy i warunki.

Od chwili odzyskania Niepodległości na czoło naszego życia zbiorowego wysunęły się zagadnienia natury gospodarczej, kulturalnej i moralnej.

Chcąc się uniezależnić od obcego kapitału w dziedzinie gospodarczej, trzeba stworzyć kapitał własny, jeżeli zaś będziemy rozporządzali własnym kapitałem, potrafiemy stanąć pod względem cywilizacji i kultury obok krajów, które, dzięki szczęśliwsiemu od nas warunkom politycznym, tę cywilizację i kulturę posiadają.

Jak widzimy, na barki dzisiejszych ludzi spadł niezwykle ciężki, trudny i odpowiedzialny obowiązek ustalenia i utrwalenia nowych form życia w atmosferze konsekwencji wielkich przewrotów dziejowych.

Jesteśmy państwem młodem, które musi się wzmacniać pod każdym względem, a szczególnie gospodarczo i kulturalnie, w przeciwnym razie możemy stracić drogo kupiony byt niepodległy.

Aby umocnić się i uniezależnić swój byt ekonomiczny, musimy pracować i oszczędzać, bo tylko drogą oszczędności będziemy mogli stworzyć kapitał własny, a przez niego dążyć do ekonomicznej i politycznej potęgi kraju.

„Z drobnych cegieł — wielkie domy,
Z drobnych kruchów — gór ogromy“.

Tak, z małych oszczędności może się stać wielki kapitał społeczny, którego drożyzna i brak stanowią główną przyczynę dzisiejszych naszych borykań się o byt. Idea oszczędności zajmuje obecnie wszystkich. Trapiące różne kraje i narody zło zwalczone być może jedyną, wypróbowaną bronią nowoczesną — oszczędnością i pracą. Oszczędność i praca są to kardynalne cnoty moralne obywatela. To też i szkoły, obok zubożenia umysłu młodzieży w wiedzę, obok wyrobienia charakteru swych uczniów, starają się krzewić

wśród nich cnoty oszczędności i pracowitości, będące fundamentem dobrobytu i kultury narodu, starają się wychować zastęp ludzi, ożywionych wedle słów Skargi „cnotą chęci ku dobru politemu“.

W związku z propagandą i rozwojem idei oszczędności powstały instytucje, których zadaniem jest pobudzać energię i wysiłki ludzi w kierunku gromadzenia kapitału społecznego. Instytucje, o których mowa, to kasy oszczędnościowe (pocztowe, powiatowe, spółdzielcze, szkolne i t. d.). Kasy oszczędnościowe przyjmują wkłady na pewien procent.

Stan organizacji oszczędności jest jeszcze w Polsce dość niski w porównaniu z iunemi krajami Europy zachodniej i wiele jeszcze w tej dziedzinie zostaje do zrobienia.

W pochodzie narodów, walczących o lepsze jutro, musi iść i nasza ojczyzna.

Naród nasz, pospołu z innemi narodami świata, ma wnieść do ogólnej skarbnicy ludzkości, przypadającą nań, częśćkę daniny, w postaci dorobku gospodarczego, kulturalnego i moralnego.

Nie powinniśmy się dać wyprzedzić pod tym względem społeczeństwom, stojącym obecnie narówni z nami. Armja nasza na polach walki dowiodła waleczności, odwagi i patriotyzmu, cechującego nasz naród. Trzeba teraz sięgać po laury w pracy pokojowej, w życiu codziennem. Trzeba, by polska armja pracy zdobyła na polu gospodarczem taką chwałę, jaką się okryła w bojach. Wysiłki o zdobycie chleba powszedniego, niewidoczne, niepokażne, a jednak decydujące o wartości i kulturze każdego społeczeństwa, i rozumna oszczędność — to droga pewna do odbudowy naszego życia gospodarczego i kulturalnego, droga, prowadząca nas na arenę narodów wielkich, do jakich mamy prawo się zaliczać.

A więc pracujmy i oszczędzajmy!

Zadanie to wdzięczne i zaszczytne. Od niego zależy przyszła szczęśliwość naszych rodaków, ogólny dobrobyt naszej Ojczyzny.

„Ucieka nędza przed tym, kto oszczędza,
Ale kto trwoni — rychło ją dogoni”.

N. D. IV żeński.



Znaczenie organizacji w naszym społeczeństwie.

Uświadomić sobie znaczenie organizacji w życiu winien każdy obywatel.

Samo atoli uświadomienie tu nie wystarczy, trzeba zdobyć umiejętność zastosowania go w czynie.

Dla przyszłości narodu i państwa zagadnienie organizowania się jest rzeczą podstawową, gdyż dziś już stało się jasnym, że wszystkim, co rości sobie prawo do życia i postępu, musi dążyć do skupiania sił we wspólnej pracy. Stąd wniossek, że należy zaprawiać się do życia, ujętego w karby organizacji, już zawczasu, aby w ten sposób owa dążność stała się niezatartym rysem naszej jaźni. Wobec tego bardzo niezbędną jest praca nad zorganizowaniem życia młodzieży, by ta w przyszłości umiała stworzyć karną i świadomą swych celów zbiorową istotę. Chodzi o problem zasadniczy: jaką powinna być organizacja młodzieży, aby mogła spełnić nie tylko swą rolę na terenie szkoły, ale i zadanie niezmiernie ważnej dla przyszłości narodu?

Odpowiedzieć na to pytanie wydaje się pozornie rzeczą łatwą: musi posiadać te wszystkie cechy, które nadają każdemu stowarzyszeniu prawdziwą wartość.

Chciałbym jednak ująć tę sprawę, wprowadzając pod własnym kątem widzenia, w program bardziej konkretny.

Przedewszystkiem każda organizacja winna dbać o możliwie wszechstronny rozwój swych członków, głównie jednak uwzględniając cel zasadniczy. Jest rzeczą obojętną, jaki to będzie cel, czy zmierzający do rozwoju intelektualnego, czy fizycznego. Sądę jednak, że nieodzowne jest połączenie obu tych czynników, gdyż człowiek, przedstawiający w istocie swej organizm psycho-fizyczny, musi dążyć do obustronnego jego rozwoju.

Rzecz oczywista, że cel musi być zawsze wzniosły i wysoce etyczny. Nie może wlewać do młodych dusz nic takiego, co by siało wśród nich rozbrat i nienawiść. Każda organizacja winna posiadać jak największą sumę wartości ideowych, jako skarbnicy, z której czerpać mógłby w przyszłości każdy z jej członków prawdziwie realne korzyści. Brak ich czyni chód w życiu późniejszym, nieskrępowanym regulaminem szkolnym, chwiejnym, bez trwałych punktów oparcia, i w rezultacie wytwarza niemożliwość wysnucia jasnych i zdecydowanych ideałów życiowych.

Współżycie i trwałe kontakty z innymi nauczy nas przede wszystkim: łączenia interesu osobistego z interesem zbiorowym, wytwarzania zbiorowej myśli.

Są to problemy centralne w życiu naszego narodu, gdyż jego wszechstronny rozwój i świetna przyszłość zależą od jednolitego frontu wszystkich sił społecznych i umysłowych i jednolitej akcji wspólnej.

Ważną rolę winny odgrywać organizacje w sprawach koleżeńskiej samopomocy, oraz w życiu towarzyskiem młodzieży. W tych jednak dziedzinach każda organizacja musi się posługiwać własną inicjatywą, a nie zgóry nakreślonymi schematami.

Odrębną, ale niemniej ważną rolę na terenie szkoły grają organizacje, o specjalnem zabarwieniu ideowem. Do nich zaliczymy: sodalicje, harcerstwo. Współpraca w nich jest wprost niezbędna dla tych, którzy nie chcą odgrywać roli martwych pionków, ślepo rzucanych wiehrem, a pragną w sobie wyrobić silne zasady postępowania.

Reasumując uwagi powyższe, stwierdzić należy, że racja bytu organizacyj uczniowskich jest bardzo silna i bardzo jasna.

Spółczeństwo wymaga od nas, abyśmy, opuszczając mury szkoły, wynieśli obok wiedzy charakter i pewien zasób samowiedzy, a więc: znajomości kraju i jego potrzeb, umiejętności twórczej pracy, harmonijnego rozwoju władz ducha i gotowości do wszystkich, dla Ojczyzny, usług.

Z. W.



„Wielka parada“.

Z obchodu 10-lecia Niepodległości Polski.

Z mgieł porannych wychylił się jesienny dzień, powoli i cicho, jakby roztoczyć chciał majestat swój niecodzienny i okazać niezwykłość. Deszcz mżył, drobniutkie jego kropelki przesłaniały świat.

Dzień 10 listopada 1928 roku...

Dziesięć lat temu, w nocy z 10-go na 11-go listopada, przybył do Warszawy wypuszczony z więzienia w Magdeburgu Józef Piłsudski.

Okolo Jego osoby skupił się naród polski, aby strząsnąć z siebie resztki pęt niewoli i przystąpić do wielkiego dzieła budowania wolnego Państwa.

To 10-lecie Polski Odrodzonej, to prawdziwe święto radości i wesela!

Dlatego też, choć pogoda zrana nie sprzyjała, choć świat był jakiś mglisty, serca milionów mieszkańców Polski rozpierała niewypowiedziana radość.

I Białystok dał dobitny wyraz swej radości.

Domy, odświętnie przybrane girlandami z zieleni i flagami o barwach narodowych, świadczyły o nastroju mieszkańców.

O godzinie 9 zrana zebrała się młodzież naszego Seminarjum w gmachu szkolnym, aby uczestniczyć w obchodzie wielkiego święta narodowego w tutejszej Szkole Ćwiczeń.

Następnie wszyscy wyszliśmy do parku szkolnego, gdzie dzieci posadziły „Dąb Wolności”. Deszcz, gęsty, choć łagodny, zwilżał ziemię, w którą sadzono to drzewo, mające być symbolem Wolności...

Po odśpiewaniu Roty udaliśmy się do kościoła Farnego na nabożeństwo. Kościół, oświetlony żyrandolami, jaśniał i nadawał chwili owej jakąś niezwykłą odświętność i majestat.

Po powrocie z kościoła ustawiliśmy się w gmachu Seminarjum przed tablicą pamiątkową harcerzy-seminarzystów, poległych w walce o Wolność, i oddaliśmy im hołd, zawieszając pod tablicą wieniec.

Potem zaczął się poranek uroczysty w auli. Przemówienia okolicznościowe wygłosili: p. dyr. Małek i p. Pacewiczówna, poczem nastąpiły deklamacje, recytacje i śpiewy chóralne. Na zakończenie odegrała orkiestra Seminarjum wiankę „Pieśni legjonowych” i Hymn narodowy. Nastrój poranku był bardzo poważny i uroczysty.

Po wyjściu z auli stwierdziliśmy, że niebo się wyjaśnia. Wszyscy powitali to z wielką radością. Wszak po południu miał się odbyć pochód z lampjonami! Trzeba nam było pogody — koniecznie, koniecznie!

Nadeszła godzina 4-ta po południu. Wszystko, co miało miejsce po tej godzinie, nazwaliśmy „wielką paradą“.

I słusznie.

Na korytarzu ruch nie do opisania!

Jedni biegają z kijami, inni z lampjonami; krzyk, hałas, wołania o ostrożne bieganie, aby „nie zaczepić lampjonu”. Po chwili zaczęły się ukazywać oświetlone lampjony. Różnego koloru światła migają na korytarzu i wytworzyło się coś, niby „świat baśni”. Zaraz też zaśpiewano: „W krainie baśni cuda się dzieją”...

Daje się słyszeć hasło do wymarszu przed gmach. Całe nasze „wojsko”, oświetlone lampjonami, sunie koryta-

rzem, śpiewając kolendy i inne pieśni. Wszyscy gromadzą się na dziedzińcu szkolnym. Deszcz pozostał tylko wspomnieniem. Niebo, usiane gwiazdami, wskazywało piękną pogodę. W ciemnościach wieczoru zajaśniała przepiękna gra wszystkich kolorów sztucznej tęczy. Każdy kurs miał inny kolor latarni: od jasno-żółtych do ciemno-liljowych i fioleto.

Zachwył i radość młodzieży osiągnęły zenitu. Wśród śpiewu najrozmaitszych pieśni wojskowych i „sztubackich“, poczawszy od: „O mój rozmarynie“, a skończywszy na „Jak matura nie dostanę - rym, cym, cym... — nie można było przejść do słowa.

Płonęły lampjony, rzucając różnobarwne promienie swe wokoło, płonęły gwiazdy na ciemnym tle nieba, płonęły nasze serca, bo czuły się wolne i szczęśliwe, szczęśliwe bez miary...

Po chwili nadjechał drabiniasty, z krakowskim weselem, wóz, a w nim nasi „muzykanci“ w strojach narodowych, wygrywający różne melodie.

Wyruszyliśmy na Rynek Kościuszki. Tu zgromadziła się młodzież wszystkich miejscowych szkół z lampjonami. I tam dopiero ta „wielka parada“ urosła do olbrzymich rozmiarów.

Białystok jeszcze nigdy nie mieścił w sobie tyle światła, tyle barw i tyle radości!

Cieszyło się całe miasto. Domy nawet, rzęsiście i symbolicznie oświetlone, zdawały się odczuwać tę powszechną radość, bo płonęły dużą ilością lampek elektrycznych, umieszczonych wśród flag, chorągiewek, girland zieleni, portretów...

Z Rynku Kościuszki cały pochód wyruszył i gwarliwą, świetlną falą popłynął ulicami: Sienkiewicza, Warszawską i Pałacową. Każda szkoła niosła innej konstrukcji lampjony. I tak szedł rażno płynący pochód, radośnie, żywo oglądany przez gromadnie zebraną publiczność.

Młodzież Seminarjum, powróciwszy z pochodu, przeszła przez park szkolny z lampjonami, podnosząc je wgórze i spuszczać wdół, przez co światła migotały, zakreślając łuki i tworząc z parku jakiś zaczarowany, niezwykły „kraj baśni“.

Zostawiwszy lampjony w gmachu, rozeszliśmy się, aby już „indywidualnie“ oglądać miasto, tak odświetnione przybrane i radosne w ten wielki i wzniosły dzień.

E. B. kurs V ż.



Echa wieczoru harcerskiego.

(Pogawędka).

Jak wiemy wszyscy, urządziło nasze harcerstwo w dniu 18 listopada uroczysty wieczór w auli Seminarjum.

Wszystko prawie, co się dzieje w naszym gmachu, pozostawia po sobie echo. Echo tego właśnie wieczoru tak szeroko rozbrzmiewało, że wiele osób, które z jakichkolwiek przyczyn były nieobecne, chciały się dokładnie poinformować o przebiegu owej wieczornicy.

— To było coś niezwykłego — mówi kolega Z. do koleżanki P.

— Opowiedzcie, opowiedzcie, kolego, od samego początku wszystko, jak tam było; ale tak barwnie, obrazowo, abym sobie mogła wyobrazić tę uroczystość — prosi koleżanka P.

— Hm, opowiedzieć opowiem, ale czy to będzie barwnie, obrazowo?

— No, wszystko jedno, jak kolega umie, tak niech mówi i już; przecie pan poloniści nie słyszy; można nawet bez wstępu i bez zakończenia.

— Tak, to tak, nie słyszy, ale... zresztą niech mię to kosztuje: poświęcę się i opowiem, nawet ze wstępem.

Otóż wstępem będzie opis zewnętrznego wyglądu tych harcerek i harcerzy.

Koleżanki — harcerki wyglądały podczas tego wieczoru naprawdę po bohatersku. Wszystkie ubrane były w szarego koloru mundurki, białe kołnierzyki, szare pończochy (do kompletu) no i pas, prawdziwy skórzany rzemień.

A miny! o miny ich były już takie nadzwyczaj uroczyste, takie poważne, takie niezwykle uduchowione. że z uszanowaniem i podziwem każdy w nie patrzył.

Znalazł się, o zgrozo! — taki śmiałek, który do jednej z tych niewiast „zrobił oko“ — ale nie zazdroścę mu następstw tego manewru. Koleżanka, obdarzona tem spojrzeniem, zrobiła minę marsową, wydeła usta z pogardą, wreszcie dotknęła ręką pasa, a nasz śmiałek nieborak, myśląc, że druhna zdejmuje pas w wiadomym celu, czmychnął tam, „gdzie pieprz rośnie“.

Narazie tyle o harcerekach. Trzeba teraz coś wspomnieć też o harcerzach. Ci nie wyróżniali się wśród „pospólstwa“ zewnętrznym wyglądem. Gdy spytałem jednego z nich, dlaczego nie są w oficjalnych mundurach harcerskich, odrzekł mi, że nie mundur czyni ich harcerzami!

— A co? — spytałem, umyślnie udając zupełnie naiwnego.

— To ty jeszcze nie wiesz? — burknął — my nasze hasła wcielamy w czyn!

Chciałem jeszcze poprosić kolegę o szersze wyjaśnienie mi tej sprawy, ale ujrawszy, z jaką pogardą patrzył na mnie, nie — harcerza, zamilkłem. Byłem zresztą pewny, że wieczornica da mi obraz czynów tej braci harcerskiej.

Wychodzi drużynowy i opowiada o obozie harcerskim męskim, który miał miejsce w lipcu b. r. Wiele, wiele sły-
szałem o wszystkim, co się działo w tym obozie. Wzruszony byłem, gdy dowiedziałem się, jakimi pochwałami (nawet piśmiennymi) obdarzeni zostali opuszczający obóz druhowie. Chwalono ich za wszystko: i za wzorowe zachowanie się i za wzorowe wyniki ze sprawności fizycznej i za wzorowe apetyty... oj, za co ich tam nie chwalać!

Ładnie opowiadał drużynowy, mieszał mu się tylko lipiec z listopadem; poza tem opowiadanie było bez zarzutu.

Gdy skończył, miejsce jego zajął inny druh. Ten odczytał kronikę, pisaną od wyjazdu do obozu aż do powrotu.

Dużo tam było poezji, dużo opisów barwnych, żywych, naturalnych. Dużo pięknych słów (w które, jak wiemy, obfituje harcerstwo), hasel i myśli.

Były też deklamacje harcerek, w części wygłaszane z pamięci, w części czytane. Co do tych właśnie deklamacyj, dotąd mam w głowie niejasno. Jaki one właściwie miały charakter — nie wiem. Obecni na sali odnieśli takie wrażenie, jakoby deklamatorce naumyślnie nie przygotowały dobrze swych wierszy, aby śmieszyć. Ja naprzykład sły-
szałem (nie chcący) rozmowę dwóch harcerek: ... „Polegałam na niej jak na Zawiszy, boć dała słowo, że deklamacja będzie. co się zowie — a tymczasem...” — więcej już nie sły-
szałem.

Po deklamacjach jeszcze jeden druh odczytał obrazki z życia harcerzy w obozie. Owszem, niczego sobie. Śmiałyśmy się jednak, bo druh czytający jakoś połykał wyrazy, co mocno przeszkadzało mu w czytaniu. Cały ten jego występ jednakże sprawił bardzo miłe wrażenie, tem bardziej, że druh występujący cieszy się ogólną i niekłamana sympatją. Imponuje bowiem: budową ciała, wyrobieniem sportowem, gładkością lica i ujmującym nśmiechem.

Na zakończenie wieczoru urządzono na scenie ognisko: naokoło niego rozsiadła się cała brać harcerska, śpiewająca tęskne, a także skoczne, obozowe piosenki.

— Może opowiedzieć jeszcze koleżance swoje spostrzeżenia, poczynione zaraz po skończonym wieczorze?

— Oj, nie, kolego, dziękuję, innym razem opowie mi to kolega, a teraz muszę ułożyć sobie jakoś opowiadanie kolegi, cośniewielkiego zanotować...

— A to na co? poco? — koleżanko!

— Ha, ha, nawet się kolega nie domyśla, że opowiadanie to będzie umieszczone w „Młodej Myśli” — prawda?

— Co? jak? gdzie? — koleżanko, nie można, ja nie chcę, bo jak pań polon...

— Dobrze, dobrze, dziękuję za tak obszerne opowiadanie; proszę wybaczyć, jeżeli nie będzie ono tak barwnie od-
tworzone w piśmie, jak je sły-
szałam; może jednak...

Kolega został sam i, idąc, mrucał: „Co ja sobie narobiłem! Wsadzą mię do tej „Młodej Myśli” i może jeszcze wytkną palcem, tak jak wytknęli harcerkę IV m! No, ale niech tam, ja przynajmniej nie będę tak, jak oni, zły za to, że napiszą prawdę, choć — prawda w oczy kole. Idąc dalej spotkał kolegę W. i, klepiąc go po ramieniu, rzekł: „Pamiętaj, abys z żadną koleżanką nie rozgadywał się nigdy szeroko, bo to tylko potem frasunek i rozmyślanie niepo-
żebne”.

Takie oto rozmowy wywołało echo wieczoru harcerskiego.

W doli i niedoli uczniowskiej niejedno się przyda, niech więc brać harcerska nie ma żalu do autorki niniejszego artykułu, bo nawet i artykuł ten może się przydać na coś naszym druhom i druhom.

E. B. kurs V ż.

Czy harcerstwo jest zabawą?

Z opinją, jakoby harcerstwo było tylko zaawą, spotykałam się dosyć często, a szczególnie uderzyła mię ona po naszym dniu harcerskim.

Nasze zbiórki, ćwiczenia, gry, nawet obozy wydają się pewnym, bardzo poważnym, osobkom tylko zabawą.

Nie chcę bynajmniej udawadniać, jakoby wszystko u nas było idealne.

Nie! Chcę tylko wykazać, że należenie do harcerstwa daje pewne korzyści, kształcąc charakter i współdziałając w wychowaniu fizycznym.

Każdy człowiek dąży do czegoś, dąży do swego ideału. Ideały mogą być bardzo różne. Harcerstwo też stawia sobie pewne ideały. Ideały te — to nie ideały jednostki, to ideały bardzo dużej gromady, gromady nie tylko harcerzy polskich, ale harcerzy całego świata. Silnem może być dążenie jednostki do zrealizowania danej idei, ale stokroć silniejszym jest dążenie do tego samego celu pewnej gromady jednostek. Tutaj jednostki, obdarzone większą od innych inicjatywą, posiadające więcej energii i zapału, pociągają i porywają za sobą jednostki bardziej ociężałe. Weźmy pod uwagę pracę zastępu, złożonego z ośmiu lub dziesięciu druhen. Dziewczęta te postanawiają np. walczyć z niepunktualnością. Jedna drugiej przypomina powzięty zamiar, a szlachetna ambicja nie pozwala żadnej z druhen nie spełniać przyjętego w tym względzie obowiązku. O wiele trudniej byłoby walczyć z tą samą niepunktualnością jednostce bez współpracy.

Człowiek czasem nie umie patrzeć i wielu rzeczy nie widzi, dopóki ktoś nie zwróci na dane objawy jego uwagi. Tu znowu harcerstwo ma szerokie pole do działania, bo na pewne rzeczy i zjawiska zwraca uwagę, uczy poznawać samego siebie i obserwować innych.

Stosunek harcerstwa do przyrody, dążenie do tego, by jak najwięcej wśród niej przebywać, by — żyjąc w warunkach, pozabawionych wielu udogodnień kulturalnych — umieć sobie radzić, ma też jasne dla każdego myślącego człowieka cele, nie wspominając już o tem, jak wielki wpływ na duszę wywiera przyroda i jej piękno. Któż może zaprzeczyć, że wakacje, spędzone w murach miasta, a wakacje, spędzone w obozie, to niebo i ziemia? Ileż to młodzieży, nawet dzieci miejskich, spędza wieczory w dusznej sali kina, karmiąc swą wyobraźnię niezdrowymi obrazami! Czyż nie lepiej byłoby takiemu chłopcu lub dziewczynce w lesie, przy ognisku, słuchać opowieści drużynowego i śpiewać piosnki harcerskie, ale śpiewać z całej duszy, tak, jak tylko się śpiewa przy ognisku!

Minęły czasy, kiedy zastępy harcerzy i harcerek niosły swe życie w ofierze ojczyźnie. Wtedy nasze hasło „czuwaj” rozlegało się głośno i mówiły nasze czyny, że jesteśmy i żyjemy. Teraz jest nieco inaczej. Praca nasza jest cicha, praca to nad zdobyciem hartu ducha i ciała, by stały się jak najzdolniejsze do pracy. Taki jest cel naszej organizacji a wszystko, co robimy, to środek do osiągnięcia tego celu wiodący. Na upartego można

to nazwać zabawą, ale nawet już 'Rej mówi, że nauka i praca mogą mieć pozór zabawy. Czyż niedobrze i niepięknie jest żyć i pracować z pogodną twarzą i piosnką na ustach! W wielu wypadkach ta pogoda i jasność harcerstwa wlewa w duszę w chwili zwątpienia wiarę i dodaje sił do pracy nie tylko nam, młodzieży, ale i osobom dorosłym.

J. V ż.



Zbiórka.

Wesoło było na korytarzu naszej Szkoły Ćwiczeń w dniu 18 listopada, gdzie się zgromadziły drużyny V Drużyny Harcerskiej.

Wkrótce rozmowy zostały przerwane wejściem Pani Opiekunki Drużyny. Z ust drużynowej pada komenda: „Baczność! Zastępami zbiórka!”.

Następuje przygotowywanie raportów, sprawdzanie obecności w zastępach. Raport. Rozkaz. Wreszcie: „Rozejść się!”

Krótki dzień listopadowy dobiegał do końca. Promienie słoneczne sennie musnęły szczyty dachów, odbiły się jaskrawą purpurą w oknach, ozłociły nagie wierzchołki drzew i znikły.

Słońce zaszło.

Na korytarzu tymczasem gwaro było i wesoło. Ustawiałyśmy żywo ławki wkrąg, zajmowałyśmy miejsca, pozwalając przytem „rozejść się” językom. I choć „harcerka za siostrę uważa każdą inną harcerkę”, to jednak Ninka „musi” siedzieć obok Wali, a Irka między Stasią i Marysią. Wreszcie drużyny zajęły miejsca i utkwily oczy w drużynową. Chwila ciszy, potem posypały się pytania, odpowiedzi, wyjaśnienia. Popłynęła gawęda, w której każda brała żywy udział. Czasem rozległa się dźwięczna gama śmiechu, kilka druhen „gadało odrazu”, znowu milkły. Słuchaliśmy. Młodsze pytały, jak jest w obozie, lub na zlocie, jak tam, lub gdzieindziej bywa? Starsze drużyny chcą wiedzieć, jak się organizuje drużyny harcerskie w szkołach powszechnych, jak należy pracować z młodzieżą, udzielają odpowiedzi młodszej braci. A gawęda płynie, płynie...

Tymczasem świat utonął w zmierzchu. Szare, listopadowe mroki wpełzły przez okna i bezszelstnie otułały ciemną szatą korytarz, wiły się dokoła nas, wciskały wszędzie, słały po kątach wielkie, tajemnicze, może zasłuchane?

Nad nami wisiał sztandar Szkoły Ćwiczeń. Zbladła, zszarzała jakoś w mroku purpurowa barwa, ale Orzeł Biały lśnił. Też pewnie słuchał, może wspominał, nie wiem, lecz pamiętam, że wówczas przed nami roztoczył się obraz walk, które młodzież staczała o wiarę, o mowę ojczystą. Z mroków przeszłości, tak nam jeszcze bliskiej, wylaniały się postacie młodych, którzy, marząc o wolności, ginęli. Oni — dali życie, my — pracę damy, zakniemy słowa „w czynów stal”. Cel ten wyraźny, już stoi przed oczyma starszych druhen, które za kilka miesięcy opuszczą szkołę; my, młodsze, słuchamy, jak należy pracować, jakie są warunki pracy, ale (prawdę mówiąc) dalekie wydają nam się te chwile.

Dokoła cisza, już prawie ciemno, tylko w górze mignęła jasna plama, może zatoczył skrzydłem królewski ptak — nasz Orzeł Biały, a może „przydało się“?

„Już ciemna noc?“ — rozległy się zdziwione głosy, szybko umknęła nam godzina. Zapalono światła. Jasne, elektryczne blaski rozproszyły mroki i myśli nasze na inne zwróciły tory.

Z dolnego korytarza dochodziły wesołe głosy i., ale Wala „na rozgrzewkę“ stosuje musztrę i na słuchanie niema czasu.

Pięć razy podrywamy się na baczność (oczywiście nie na rozgrzewkę), ale sroga mina drużynowej nie wróży nic dobrego. Dalej „jakoś to poszło“. Kilka minut musztry dało nam świetne humory, a Wali powiedziało, że: „druhny są do niczego“.

Ano, trudno wszystkim dogodzić! Potem nastąpił szereg zabaw ze śpiewem, w czasie których nie dochodziły do nas odgłosy z korytarza (kilka głów „wetknęło się“ przez drzwi). Byliśmy bardzo wesołe, co nam nie przeszkodziło wysłuchać, krótkiej coprawda, bury na temat — nie pamiętam już dziś jaki, ale mniejsza o to.

„Baczność!“

„Zbiórka, w dwuszeregu!“

Oddaliśmy cześć sztandarowi słowami naszych „milusińskich“ z ćwiczeniówki, potem popłynęły równo, uroczyste słowa „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“.

Przed nami jaśniał sztandar z Białym Orłem.

I. Czechówna, kurs II ż.



Dzień harcerski w naszym Seminarjum.

„Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie“ — takie padają słowa wśród uroczystej ciszy. Dwa palce złożone na sztandarze, oczy patrzą szeroko, ale nic nie widzą.

Przyrzeczenie harcerskie...

Aula przystrojona zielenią. Wśród istnej powopzi kwiatów widnieje portret założyciela skautingu, sir Roberta Baden-Powella. Pod ścianami stoją obie drużyny żeńskie, z tyłu męska. Tuż pod sceną trzy drużyny trzymają sztandar. Do sztandaru podchodzą dwójkami te, co składają przyrzeczenie. Widać, że odczuwają doniosłość chwili. Jednych słowa są jako cięcia stali, krótkie, szybkie, innych drżące, nabrzmiąle łzami. Oczy błyszczą, twarze rozpalone, usta drżące. Mocne płyną słowa Roty, kończy się ranna uroczystość.

O godz. 17.30, odśpiewaniem modlitwy harcerskiej, rozpoczęto wieczór harcerski. Potem nastąpiło sprawozdanie, może nie tyle sprawozdanie, ile podzielenie się wrażeniami, wyniesionymi z obozu harcerskiego letniego w Kurhanach. Nazwa miejscowości obozowania zaimponowała nam: stacja Mohylany, majątek Kurhany! Z obu tych nazw wieje jakiś duch romantyczno-bohaterski. Kurhany... Wyobraźnia tworzy najrozmaitsze przypuszczenia... Może kiedyś znajdowały, a może i dziś znajdują się tam mogiły, kryjące zwłoki jakichś nieznanych żołnierzy — tułaczy, bohaterów?...

Silny głos kol. Deptuły przyzywa nas do rzeczywistości. Podążamy teraz wyobraźnią za słowami kol. Ziutka. Przed oczyma duszy zjawiają się kolejno: postać kapitana Boleślawskiego i znów wizja: Mohylany... Kurhany i dobrodusznia, typowo-polska twarz p. Kamieńskiego, właściciela tamtejszego majątku.

Widzimy cudną noc. Ognisko rzuca snopy iskier, widocznych daleko w okolicy. Dokoła siedzą druhowie, a pieśń płynie... „pieśń harcerska, pieśń jak dzwon“. Zdaje się nam, żeśmy to naprawdę widzieli, żeśmy razem przeżywali owe chwile, tak wyrazisty jest ten obraz. Odczuwamy coś, jakby zazdrość względem tych druhow, którym okoliczności dozwoliły wszystko to przeżywać w rzeczywistości, kiedy przez cały miesiąc byli we wspomnianym obozie. Ze sprawozdania dowiedzieliśmy się, że w obozie tym nie próżnowano.

W dalszym ciągu uroczystości wygłoszono deklamacje. Wiele uznania uzyskały wesołe obrazki z życia harcerskiego.

Wykonano chińskie cienie. Na zakończenie harcerki i harce-
rze obsiedli ognisko, które się składało z kilku lampek elek-
trycznych, owiniętych w kolorową bibułkę, i paru gałązek
świerkowych i śpiewem zakończyli wieczór.

Łotowska IV ż.

Do Redaktora „Młodej Myśli“

Szanowny kol. Redaktorze!

Zdaje Ci się, że gdy powiesz komuś: „Skrobnij coś
ognistego do gazetki!” — to tak, jakbyś powiedział: „Wypij
szklankę wody!”.

Owszem. Można pisać. Ale pisanie pisaniu nierówne!
Jedni piszą, bo im każą lub dyktują drudzy, inni zaś piszą,
bo nie mają nic lepszego do roboty, wkońcu jest trzeci typ
ludzi, którzy pisząc, tworzą w natchnieniu. I zgodzisz się ze
mną zapewne, że wysiłek tych ostatnich jest największy.

My, ludzie, nie możemy tworzyć ciągle. Tworzymy tylko
w pewnych momentach, tworzymy tylko wówczas, gdy jakaś
nieznana nam siła odchyli rąbek zasłony, okrywającej ta-
jemniczy dla nas świat ducha i ukaże nam znikomą cząstkę
duszy naszej, tak, że w tej chwili czujemy inaczej, niż czu-
liśmy przedtem, obejmujemy myślą widnokrag życia szerzej
i dokładniej.

Niby maleńka iskierka mignie wtedy przed twemi oczy-
ma coś pięknego a potężnego, falą srebrzystą zadrga i porwie
cię z sobą, obleje dziwnym blaskiem, tak, że zapomnisz, co
się za tobą dzieje, lecz gdy zechcesz to „coś“ uchwycić
w słowa, uchwycisz tylko smutnie znikomą jego cząsteczkę,
podczas gdy reszta gdzieś się ulatnia, jak chmurka, jak sen
mknie dokądś w niepowrotną dal.

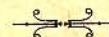
Pragnąc odtworzyć wszystko, co ci ukazał Ten, dla nas
Nieznany, co się przesunęło w twojej świadomości, chwytasz
za pióro i piszesz, zapalczywie piszesz, lecz czytając to po-
tem, znajdziesz to takim niedokładnym, takim bladym, tak
mocno różniącym się od prototypu, że łzy ci nieraz stają
w oczach i poczynasz gniewać się na tego Nieznanego ci,
który jakby igra z tobą, bo ukazując ci jakiś nowy promyk,
pochodzący z nieznanego źródła, nie daje ci jednocześnie tej
mocy, byś ten promyk mógł zatrzymać, przyjrzeć mu się
i zakląć go w słowa.

Ze łzami w oczach modlisz się do tego Nieznanego,
który duszą włada, modlisz się o to, by ci przedłużył
tę chwilę, w której więcej widzisz, czujesz i myślisz, niż
zwykle.

Wysłucha cię czasami Nieznany i odkryje przed tobą
tajniki twojej duszy, lecz myśl twa biedna znów nie daje ci
spokoju. Zwątpienie cię ogarnia na myśl, że twór twój,
któryś pragnął wiernie odtworzyć, źle rozumieją inni, że
nie wczują się weń i nie będą go widzieli takim, jakim ty
go widziałeś, nim się oblekł w słowa.

Widzisz zatem, Karolu, że stworzyć coś, coby naszą
„Młodą Myśl“ zadowoliło, by „sięgnęła po życie nowe“ i by
była „hymnem na cześć naszej twórczej młodości“, nie jest
łatwo, jak ci się wydaje, bo to nie zależy ode mnie, ani od
Ciebie, ani od kogoś innego ze zwykłych zjadaczy chleba,
jeno od tego Nieznanego nam, który swym ulubieńcom
dziwne tajniki duszy ludzkiej ukazuje.

W. Dudziński.



HUMOR I SATYRA

Fenomenalny rzut oszczepem.

Najszcześniejszym człowiekiem swego czasu był Adaś.

Na podobieństwo swego praojca, bytującego w raju,
zrazu w stanie kawalerskim, nie miał on żadnych zgoła kło-
potów. Nie „cisnęli“ go ani za internat, ani dwój nie sypali.
Zjadał szczęśliwiec sumiennie wszystko to, co Pan Bóg dał
pośrednio przez ręce internatowej gospodyni, i cieszył się
pięknym życiem.

Ale szatan jest zły i zazdrosny, nie znosi śmiechu na
ludzkiem obliczu; to też ofiarą jego miał paść wkrótce Adaś.
Właśnie, najcudniejsza w świecie, bo polska, jesień rzuciła
urok na całą przyrodę. Wietrzyk, figlarnie myszkujący po
gałązkach drzew, strącał z nich żywe złoto, igrał z niem i
jak dziecko, znudzone zabawką, rzucał je do brudnych ka-
łuż, aby znowu zdmuchnąć tysiące nowych złotych blaszek.

Tak było wesoło, że nawet ja się śmiałem, jak pierwsze
lepsze dziecko z ćwiczeniówki, wszyscy się śmiali i Adaś
się śmiał. Przedewszystkiem, właśnie on.

* * *

Ponieważ dobrze żyłem z Adasiem, zwierzałem mu się z moich myśli, a on też odkrywał przede mną jasną, jak światło słoneczne, swoją duszę i było nam z tem dobrze.

Jakież było jednak moje zdziwienie, kiedy pewnego razu Adaś westchnął i rzekł: „Szczęśliwy z ciebie chłop! Nie tak, jak ja! Obym lepiej...” i t. d.

— Ja szczęśliwy?! Jak można nazwać szczęśliwym człowieka, którym opiekuje się łaskawa kasa (15 złotych), którego internat „ciśnie” od dwóch miesięcy, którego garderoba, zwłaszcza zelówki, urąga wprost pewnym, znanym ci pojęciom o kulturze i higjienie, którego... którego... ach! co tu dużo gadać!..

— Tak, szczęśliwy jesteś! — twierdził z uporem manjaka mój Adaś.

Zacząłem żywić poważne obawy co do ilości klepek w jego głowie, więc, nie zwlekając, pobiegłem i ogłosiłem wszystko kolegom.

Postanowiliśmy zbadać stan duszy Adasia, który stał się małomówny, ponury. Wyznaczyliśmy do tego Wacka, starego wygę, który, nie płacąc ani grosza, potrafił udowodnić gospodyni, że płaci w dwójnasób. Właśnie tego Wacka, który — powiedziawszy pewnego razu gospodyni, że skąpstwo jest pierwszym objawem zbliżającej się śmierci (gospodyni miała lat 80) sprawił, iż odtąd przez cały miesiąc otrzymywał luksusowe obiady.

Po tygodniu wiedzieliśmy już wszyscy, że przyczyną niepokojących objawów umysłowych Adasia była miłość.

Adaś pokochał, dosłownie: pokochał!

Sechł biedaczysko, jak owe jesieune liście, co niemi wiatr urągłiwy po pustych ugorach i ścierniskach miota. Zdawało się, że nasz bohater, rzuciwszy do reszty z siebie ziemską powłokę, w kształcie obłoczka wyfrunie gdzieś w górę.

Tak odśrodkowo działała nań miłość. Ano różnie to bywa.

Kochał biedny Adaś i może kochał nieszczęśliwie?

Pan Bóg często tego, kogo miłuje, nawiedza obłędem, aby już w tem życiu skrócić jego cierpienia. Obłęd bowiem jest strasznym tylko dla nas „postronnych”, t. j. tych, którzy nie są nim dotknięci, podczas gdy warjaci są najszczęśliwszymi ludźmi pod słońcem.

Tak szeptaaliśmy między sobą, śledząc pilnie każdy pośtępek Adasia.

I często widywaliśmy ich, jego z nią, jak stali oboje, nie mówiąc do siebie ani słowa (miłość słów nie potrzebuje!). On, na podobieństwo zórawia, obracał głową jak tykwą, widocznie myśląc: „Wyczerpałem wszystko; nie mam już nic do powiedzenia!”

A ona? Tymczasem nic jeszcze wyczytać z jej twarzy nie mogliśmy.

Wreszcie, jak początkujący adwokat, przygotowałem mowę, którą postanowiłem zabić strasznego smoka, co toczył duszę Adasiową, wyrwać z jego serca niedorzeczny afekt.

— Adamie — rzekłem — wiem, co ci dolega! I ja też kochałem i mną wzgardziła kobieta, a piękna była i oczy miała czarne. Pomyśl, przyjacielu, czy nie szkoda twego intelektu? Sam Mickiewicz na własnej skórze tego doznał, że „kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy i noc...” potem wiesz, jak dalej... Tak!

Słowem ostatecznym celem mojej perory miała być konkluzja: „skoro ona cię puściła w trąbę i ty ją puść!”

Tak mówiłem, wbrew własnemu przekonaniu, i już pewny byłem wygranej, kiedy, najniespodziewaniej w świecie, Adaś rzekł:

— Ależ przyjacielu! ona mnie kocha do szaleństwa!

Do reszty zgłupiałem, słysząc to, i nijak nie umiałem zrozumieć, dlaczego wobec tak pomyślnej konjunktury Adasiowego serca, chłopak z dnia na dzień sechł i wkońcu stał się tak chudy, że za jego plecami nawet „zgotić” francuskiego nie było można, bowiem przez szpary w jego szkielecie wszystko było widać. Wreszcie kości naszego bohatera stały się tak przezroczyście, że pomimo, iż był w klasie, notowano go jako nieobecnego. Adaś ueteryczniał się poprostu. Przeształ jadać, to też w jadalni nigdy go widać nie było, a porcję swą oddał Frankowi i Władkowi, którzy, lejąc łyż nad jego niedolą, jednocześnie grywali całymi wieczorami, chwając Pań nad Pany, który im powiększał o pół porcji każdy posiłek i zjadali porcję z apetytem. Wreszcie pewnego dnia, kiedy okno i drzwi przeciwległe były otwarte i Adaś usiadł na przeciagu, wiatr porwał i omal nie uniósł ponad miastem tej, niezrozumiałej dla nas, ofiary miłości.

Uchwaliliśmy tedy na zebraniu gminy kupić dwanaście metrów sznura i przymocować biedaka (a może szczęśliwca) do Cześka, wtedy bowiem byłaby pewna gwarancja, że Adaś zostanie między nami, a przecież, pomimo wszystko, kochaliśmy go bardzo i bardzo nam na tem pozostaniu zależało.

Adaś² był już tak przezroczystry, że wiedzieliśmy o jego obecności tylko dzięki lekkiemu naprężeniu sznurka, ale byliśmy bezradni wobec tego zjawiska i wysłaliśmy chłopca do szpitalika.

Wreszcie Czesiek, który miał możność najczęstszego odwiedzania „chorego”, oznajmił nam, że Adaś zaczyna tracić ciężar właściwy i unosi się pod sufitem nakształt jasno-błękitnego oparu, czegoś w rodzaju dymku z papierosa.

* * *

Szumnie ogłaszano zawody, biegł na boisko kto żył. Czesiek, szampion województwa, w przyszłości Polski, a jeszcze później Europy i całego świata, miał rzucać oszczepem. Poszliśmy tedy na boisko i my w towarzystwie ukochanej przez Adasia osóbkę. A on czyż miał zostać w szpitaliku? Nie! na to pozwolić nie mogliśmy.

— Czešku — rzekłem — przywiąż go do oszczepu i pójdziemy. Nie będzie nam wcale zawadzał. Niech i on zobaczy.

Błagał też o to i Adaś, którego głos rozlegał się, jakby pochodził z zaświatów. Ostatecznie Czesiek się zgodził na mój projekt. Maszerowaliśmy na boisko.

Trybuny... publiczność... gorączka... oklaski... szal.

Czesiek ma występować w środku zawodów. Po biegach na tysiąc metrów i skokach wdał wyszedł na boisko z oszczepem i przywiązany doń Adasiem, stanął na mecie i... Straszna myśl zaświtała mi w głowie, rozpacz, jak żmija, wżarła mi się w serce — ja najwięcej kochałem Adasia. Tymczasem Czesiek stawał na mecie!..

Jak szalony — przesadziłem barjerę i biegłem przez boisko, wołając: „Czešku, na miłość Boga, stój!”.

Ale on nie słyszał mego wołania; rozpedził się, zagrały w nim mięśnie, twarz mu się skurczyła w ostatnim wysiłku i, nim zdążyłem runąć mu pod nogi, aby go obalić, rzucił całą siłą oszczep i runął na ziemię.

A kiedy wstaliśmy obaj, oszczep szybował w powietrzu z przywiązany doń Adasiem na sznurku, stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie znikł w błękitnej przestrzeni. Adaś, który już nie ulegał przyciąganiu ziemskiemu, pociągnął za sobą oszczep w nieskończoność.

Spójrzeliśmy sobie z Czešką w oczy i skoro uprzytomniliśmy, że już nigdy nie ujrzymy Adasia, wybuchliśmy płaczem, strasznym płaczem, jak po zgonie rodzonej matki.

A tymczasem wieść o dziwnym zjawisku lotem błyskawicy rozniosła się po całym mieście. Czeška ubóstwiano, że

pierwszy na kuli ziemskiej potrafił pokonać siłę przyciągania ziemskiego i opór atmosferyczny i nawet uczyniono kwestę na jego pomnik.

* * *

Gdzie dzisiaj Adaś się obraca? — nie wiem. Co do tego, istnieją dwie hipotezy: jedni, z Anatoljuszem na czele, twierdzą, że Adaś, po pewnym przecięciu stożka krąży dookoła słońca, jak planeta, a to dzięki oszczepowi, który, mając masę, musi zachowywać się jak materja i ulega pewnej grawitacji.

Drudzy, z Sałatą na czele, utrzymują, że sznur przetarł się w grubej warstwie powietrza, okalającej ziemię, i spalił się, a Adaś nie po elipsie, ani po paraboli, lecz dąży po linii prostej w nieskończoność, chyba, że po drodze napotka jakąś planetę i, znalazłszy dogodny warunki życia, stanie się Adamem nowej ludzkości.

Co do mnie, to przyznać muszę, że nie zająłem stanowiska ani jednego, ani drugiego, może Adaś jest na Marsie, może na księżycu, a może dąży w nieskończoność. Wiem tylko tyle, że żal czuję za nim beznadziejny i, rozpamiętując jego dzieje, postanowiłem nigdy się nie kochać.

Kotłowski.

Z życia naszego internatu.

Dzwonek. Godzina piąta po południu.

Przez długi korytarz drugiego piętra sunie szereg uczniów. Każda z nich śpieszy do swojej uczelni. Chwila humoru, hałasu, wreszcie cisza.

Odraanianie lekcji. Słychać zgrzyt pióra po papierze. Twarze pochylają się nad książkami. W dużej, oświetlonej trzema lampkami, sali fizykalnej pracują piątoklasistki. Przed każdą z nich leży na stole stos książek cieńszych i grubszych. Jakich dzieł tam niema! Leżą bardzo grube roczniki statystyczne do „Polski współczesnej“ i gruby podręcznik pedagogiki Kota i „Czarne kwiaty“ Norwida...

Wzrok bezradnie błądzi po tych księgach. Którą wziąć pierwszą? Ręka nerwowo przerzuca książkę po książce, zeszyt po zeszycie. Wtem spada na podłogę niewielka, w zielonej okładce, książka — to poezje Norwida. Wybór dokonany! Zazeczydował traf. Szeleszczą kartki, wzrok się zatapia w stronicach, wypełnionych drobnym drukiem, trudną poezją oryginalnego poety.

— Marysiu, co czytasz?

— Czytam Norwida, bo chcę prędzej napisać wypracowanie.

— Nie wiem, jednak, kiedy ja odrobię inne lekcje na jutro. Sama matematyka zabierze ze trzy godziny... Ach, okropny ten jutrzejszy dzień, tyle roboty!

— A co jeszcze jest do odrabiania? — pyta inna.

— Czy nie pamiętasz?! A francuski!

— Oj, rety, już chyba nie nauczę się na jutro którejs lekcji, ale której — nie wiem.

— „Jurku“, piszże prędzej „exercice“ francuskie, bo nie zdążę potem „skopjować“!

— Ale i ja też zamawiam się w kolejkę do ciebie, „Jurku“, pamiętaj!

— A, to wy niby à la kolega Dudziński; dobrze — odpowiada „Jurek“. Pochyla swą zawsze pogodną i dobrą twarz i skrobie po papierze, skrobie z nadzwyczajnym pośpiechem.

Chwila wolnej gadaniny. Słychać zewsząd uciszanie: „Gadulę, przestańcie trajkotac, boć czasu mało mamy!“.

— Zosiu, co też ciebie napadło? Góry ci się przypomniały, że nuczisz coś pod nosem?! — mówi oburzona Albinka.

— Irko, a ty ze swoim temperamentem i ciąglem kręceniem się jesteś nieznośna! Usiądźże spokojnie nareszcie!

I tak, wśród wzajemnego uciszania, każda zajmuje miejsce i pracuje.

Drzwi skrzypnęły, Do sali weszła pani wychowawczyni z zeszytem w ręku.

— Czy wszystkie jesteście?

— Wszystkie, wszystkie! — odpowiadamy chórem.

— Jakże to wszystkie, kiedy nie mogę się was doliczyć?.

— A bo niektóre uczą się na korytarzu, proszę pani, inne znów w sali biologicznej.

— A gdzie M.?

Milczenie.

W zeszytach postawiony znaczek.

— Może w szpitaliku, proszę pani — odzywa się któraś, ale pani wyszła.

Dzwonek. Minęła godzina odrabiania. Żadna jednak z nas się nie rusza, nie wychodzi, aby się przewietrzyć, wypocząć.

Umysły pracują usilnie, oczy wyteżone śledzą za każdym wyrazem, za każdym zdaniem, za myślą jakiegoś autora. Twarze płoną wskutek wewnętrznej gorączki.

Przechodzi druga i trzecia godzina odrabiania, a żadna z nas nie drgnęła.

Dzwonek na koniec odrabiania. Z kilkunastu piersi wyrywa się okrzyk zdziwienia: co to, już koniec!?

Niestety, tak.

— Boże mój! — krzyczy Karolcia — przecież ja jeszcze nie skończyłam wypracowania polskiego!

Drugi dzwonek! Wzywa na kolację. Idziemy szybko. Jemy kolację, ale po głowie wciąż chodzą lekcje odrobione i nieodrobione, dzień jutrzejszy i wszelkie złe możliwości. Godzina płynie za godziną i nic ich nie wstrzyma.

I znów dzwonek. Modlitwa. Z kilkadziesiątu piersi płynie do Stwórcy kornie „Pod Twą obronę, Ojciec na niebie“. Piątokursistki śpieszą gorączkowo do uczelni, by skończyć rozpoczętą pracę. Już niewiele zostało.

Wtem odezwał się dzwonek i to specjalny, bo na piątokursistki. Opuszczamy uczelnię, każda dźwiga stos książek. Idziemy do internatu. Za nami i przed nami światła gasną, tylko czerwone oczko lampki nocnej mruga na nas nęcoco.

— Niech się co chce dzieje, ale już niezdolna jestem dzisiaj do pracy — biada Genia.

Wszystkie jesteśmy bardzo zmęczone i jedynym pragnieniem naszym jest położyć się do łóżka i zasnąć. To też wkrótce wszystkie już leżymy w łóżkach, tylko na korytarzu została niestrudzona Kazia, która, postawiwszy krzesło na stole, siedzi i przy świetle lampki nocnej czyta książkę.

— Kaziu, tyś znowu zasiadła na tym swoim tronie... i nie szkoda ci oczu, ni zdrowia?...

— Cóż mam począć, kiedy nie mam innego czasu na czytanie, a czytać muszę, bo tak kazał p. polonista.

Z sypialni sypią się w stronę Kazi docinki za docinkami, niby pociski. Rozmowa rozpoczęła się na dobre. Gdyby ktoś był w sypialni i słuchał tej rozmowy, toby się wiele ciekawych rzeczy dowiedział. O czym tam się nie mówiło! Rozpoczęło się od „głowy“ Seminarjum, a skończyło na nas uczennicach.

Te, które chciały spać, nie mogły przy takim hałasie. Nie pomagały uciszania, ani prośby, ani groźby, tak się rozwinęły języki. Każda dostała łatkę i została należycie scharakteryzowana.

Wtem posłyszaliśmy jakiś zagrobowy głos, podłoga skrzypnęła na korytarzu w jakiś niesamowity sposób.

— Karolciu, z pewnością kościotrup ma zamiar złożyć nam wizytę — woła Reginka.

— Daj spokój, z takimi rzeczami teraz nie wyjeżdżaj, bo przecie w nocy się o tem nie mówi — odpowiada zagadnięta.

Głos na korytarzu nie ustawał trąbić. Wszystkie zaniepokojone nasłuchują...

Nagle Irka wybucha śmiechem. To Jadzia urządziła stację nadawczą i mówi przez zaimprovizowane radjo takie śmieszne rzeczy, że nie sposób powstrzymać się od śmiechu. Jest już bardzo późno, a żadna z nas nie myśli o śnie, który odleciał, odpędzony śmiechem i hałasem. Rozmowy nie milkną, nie sposób ich powstrzymać.

Naraz dają się słyszeć ciche, przytłumione tony skrzypiec. Hałas milknie. Oto nasza przodowniczka, będąc zarazem artystką, znalazła sposób uspokojenia nas: stoi przy swoim łóżku i gra. Gra cicho, rzewnie, twarz ma zwróconą do okna, z którego pada na nią blask księżycy.

Pod urokiem muzyki robi się coraz ciszej, coraz senniej.

Z pod palców Maryni płynie „Ave Maria” coraz cichsze i cichsze, wreszcie skrzypce milkną — wszystkie śpią.

Na śpiące twarze pada przez okno blask księżycy, a nad łóżkiem każdej stoi biały anioł — stróż i czuwa, by sen ten nas pokrzepił i dodał sił do trudnej pracy.

L. V ž.

Kroniki nie zamieszczamy, ponieważ kronikarka Zarządu Głównego nie nadesłała nam jej w oznaczonym terminie.

Redaktor.

Od Redakcji.

1. „Podróż na święta Bożego Narodzenia“. Z artykułu skorzystamy, ale, ze względu na aktualność, umieścimy go w następnym numerze.

2. Sprawa innych, niewydrukowanych artykułów nie jest rozstrzygnięta. Część ich postanowiliśmy umieścić w następnym numerze, dlatego kategorycznej odpowiedzi dać teraz nie możemy.

REDAKTOR.

DRUKARNIA „POLONIA”

BIAŁYSTOK

ul. Kiłińskiego 9, tel. 10-61.

SD